

Pismo.

MAGAZYN OPINII

MAJ 2020 | NR 5 (29)

ROZMOWA

Jacy wyjdziemy
z kryzysu?

REPORTAŻ

Każdy może być
cyborgiem

Uratują nas
łośosie

LITERATURA

Sołtys
Kornhauser

ESEJ

Poprzednie
końce świata
już przetrwaliśmy

CENA: 14,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 422258
05>



9 772544 502005

MAGAZYN OPINII

Pismo.

MAJ 2020 | NR 5 (29)



MAGAZYN OPINII Pismo.

MAJ 2020

OPOWIADANIE

Zimy i wiosny | 6
PAWEŁ SOŁTYS

Miłość | 92
PETER MICKWITZ

RZECZ GUSTU

Redakcja poleca | 3
gdzie i jak podróżować w maju

APTECZKA

Co w niej trzyma... | 91
MELA KOTELUK

POEZJA

Ciało szczęścia | 53
MARIA PAWLIKOWSKA-JASNORZEWSKA

Słyszysz hałas wokół domu? | 71
JAKUB KORNHAUSER

Dinozaur | 83
SZYMON BIRA

OBRAZ

CYKL DOBRO WSPÓLNE **Medycy na Ulicy** | 4
MARTA RYBICKA

FOTOREPORTAŻ **Anima. Obrazy z Afryki** | 32
MAGDA HUECKEL

KOMIKS **Stare zdjęcia** | 62
EDYTA BYSTRON

ŻARTY RYSUNKOWE **Bolesław Chromy**

OKŁADKA **Wyjście z mroku**
PIOTR KOWALCZYK

FELIETON

2 | TYMCZASEM **Miesiąc wolnego**
MARCIN WICHA

96 | PRZYPISY **O tym, co oswaja lęki**
ZUZANNA KOWALCZYK

REPORTAŻ

16 | **W tym roku pierogów nie będzie**
MICHAŁ SZCZĘCH pyta, jakie lęki obudził w nas koronawirus

20 | **Świat oddycha skrzelami**
KAMILA KIELAR udowadnia, że nasz ekosystem zależy od lososi

44 | **Instrukcja obsługi zmysłów**
PAULINA MAŚLONA sprawdza, czy warto wszczepić sobie chipa

ROZMOWA

8 | **Kwarantanna w pokoju 101**
KAROLINA LEWESTAM pyta LECHA NIJAKOWSKIEGO o to, jacy wyjdziemy z kryzysu

ESEJ

14 | **Obnażona istota władzy**
DAVID RUNCIMAN zastanawia się, czy wirus zmieni zasady demokracji

26 | **A pszczoła nadal krąży nad kwiatem nasturcji**
ANNA PIOTROWSKA pociesza: koniec świata już był. Nie raz

40 | **Koronawirus, czyli katastrofa kobiet**
HELEN LEWIS analizuje, jaki wpływ na sytuację kobiet ma pandemia i jej skutki

54 | **Przebudzenie z chińskiego snu**
POLA IGNATOWICZ sprawdza, dokąd zmierzały Chiny, zanim zatrzymał się świat

72 | **Kres chiromancji**
ANDRZEJ MENCWEL z nostalgią o odręcznych notatkach

84 | **Mikrokosmosy wojny klas**
JAKUB MAJMUREK o kinie, które w końcu upomina się o sprawiedliwość społeczną

HISTORIA OSOBISTA

66 | **List do K.**
FILIP SPRINGER próbuje przygotować się do trudnej rozmowy z synem

76 | **Leczę się z wojny**
KAROLINA SŁOWIK o traumie, która przechodzi z pokolenia na pokolenie

MAGAZYN OPINII
Pismo.

Pismo. Magazyn opinii
www.magazynpismo.pl

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,
00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkowie Zarządu:
Magdalena Kicińska, Piotr Stasiak

Redakcja: Pismo. Magazyn opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska, **Szefowa Działu Idee:** Karolina Lewestam,
Sekretarz Redakcji: Katarzyna Kazimierowska, **Redakcja:** Marcin Czajkowski, Zuzanna Kowalczyk, Zofia Sawicka,
Felieton: Marcin Wicha, **Korekta:** Monika Marczyk, Dorota Śrutowska,
Szefowa Projektów Cyfrowych: Barbara Sowa, **Wydanie Cyfrowe:** Mateusz Roesler,
Projekt makiety: Jacek Utko, **Redaktorka Artystyczna:** Karolina Mazurkiewicz,
Szefowa marketingu i sprzedaży: Kalina Wyszynska, **Promocja:** Ewa Salamon, **Fundraising:** Anna Linowska,
Reklama: reklama@magazynpismo.pl, **Prenumerata:** www.magazynpismo.pl/prenumerata

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.



MARCIN WICHA
(ur. 1972), grafik,
projektuje okładki,
plakaty, znaki
graficzne. Pisarz.
Nagrodzony
Paszportem
„Polityki”
2017 w kategorii
literatura. Laureat
Nagrody Literackiej
Nike 2018 za
*Rzeczy, których
nie wyrzuciłem.*

Miesiąc wolnego

Pewnego dnia w kwietniu pojechaliśmy po zapas pierogów. To była nasza rocznica ślubu. Dziewiętnasta czy może dwudziesta pierwsza.

Samochód nie chciał ruszyć. Zaniedbywaliśmy go ostatnio. Na tablicy rozdzielczej błysnęły czerwone znaki. Pismo runiczne jak w cholernym *Władcy pierścieni*. Trzeba było sprawdzić na 1238 stronie instrukcji obsługi. „Jeżeli kontrolka nie zgaśnie – a módl się, za prawdę, módl się, aby zgasła – lecz jeśli nie zgaśnie, to zatrzymaj samochód i wzywaj pomocy”.

Zgasła, ale na moście poczuliśmy zapach spalenizny. Na Powiślu spod maski wydostała się pierwsza nitka dymu.

Wracaliśmy na piechotę, niosąc krewetki, wieprzowinę, soczewicę i marchew. Sos sojowy chlupotał w termicznej torbie.

– Mleko się rozlało – powiedziałem bez sensu.

Dopiero tego dnia można było zauważyć, ilu jest w mieście bezdomnych. Ile forsycji. Warszawa wyglądała jak miasto Prypec lub nadbałtycki kurort po sezonie.

Na drzwiach zamkniętej kawiarni wisiała kartka „We love U”. Dużo serduszek, papier zaczynał blaknąć. Tajskie koty w witrynie dostały choroby sieroczej. Niektóre jeszcze unosiły ręce. Innym już padły baterie.

Na murach wisiały plakaty odwołanego koncertu. Obok wzywano na Narodowy Marsz Życia. Szczerze podziwiałem logo. Polska jako macica. Na pępowinie Wisły dyndał płód. Wody odeszły do morza.

Poza tym prawie nie wychodziliśmy. Uwolnieni od przestrzeni mogliśmy się zająć czasem.

Siedzieliśmy, jak się siedzi w domu, gdzie ktoś umarł. Tylko dłużej. Sprawdziłem w internecie. Sziwa – siedmiodniowy okres ścisłej żałoby: „Nie wolno (...) wówczas pracować (także podpisywać umów, prowadzić transakcji handlowych), kąpać się dla przyjemności ani namaszczać ciała, golić i obcinać włosów, zmieniać odzieży, nosić skórzanego obuwia, spełniać małżeńskich obowiązków, słuchać muzyki, a nawet studiować Biblii”.

Niezadbaní, nienamaszczeni i kudłaci. Dostaliśmy cały miesiąc, żeby zrozumieć, że to na zawsze. Że to naprawdę. Że się nie odstanie. Że się nie obudzimy.

Miesiąc, żeby się oddzieliło przedtem od potem. Miesiąc, żeby banki przedstawiły korektę prognozy wzrostu. Miesiąc, żeby kalendarz pozbył się naszych planów i oczyścił jak wenecka laguna. Miesiąc, żeby umarło, wyszło i odpadło to, co nas wiązało ze światem: gniew, nadzieja, poczucie lojalności. Drobne układy i oszukańcza komitywa.

To była żałoba. A trochę nie. Ponieważ świat wcale nie zamierzał umierać. Epoka trwała w najlepsze. Dopiero się rozpędziała. Już niczego nie zamierzała udawać.

Więc może tylko techniczna przerwa. Zmiana dekoracji. Konserwacja nadajników. Godziny, kiedy stacje radiowe milkną lub nadają wiązanki relaksacyjnych przebojów. Pusta połowa strony, biała kartka na końcu rozdziału.

Miesiąc, żebyśmy już nigdy nie mogli powiedzieć, że zabrakło nam czasu na przeczytanie tego czy tamtego.

Miesiąc, żebyśmy się przestali oszukiwać. (Nie, nie zaczniemy się uczyć od poniedziałku. Nie napiszemy nienapisanych książek. Nie pojedziemy w te wszystkie miejsca, gdzie byli nasi znajomi).

Miesiąc, żebyśmy się zdążyli przyjrzeć naszym groteskowym przywódcom. Posłuchać naszych mędrców (którzy tak skwapliwie pospieszyli z koniecznymi wyjaśnieniami).

Miesiąc, żebyśmy już nie gromadzili dowodów na to, co udowodnione. Nie szukali potwierdzeń tego, co potwierdziło się samo. Żeby nam minęła chęć do zadawania retorycznych pytań. Żebyśmy już nie udawali zdumienia. Żebyśmy nie udawali pewności siebie.

Mapy się skończyły. Kiedy w końcu wyjdziemy z domu, przed nami będzie biały papier. Zmrużymy oczy i

(jeszcze się zobaczy).

Rzecz gustu,

CZYLI REDAKCJA „PISMA”
PODPOWIADA, JAK I GDZIE
PODRÓŻOWAĆ W MAJU:

1

Atlas wysp odległych. Pięćdziesiąt wysp, na których nigdy nie byłam i nigdy nie będę

Judith Schalansky
(przeł. Tomasz Ososiński),
wydawnictwo Dwie Siostry

Olga Tokarczuk, pisząc o tej książce, zgodziła się z jej autorką, że „kartografia powinna zostać uznana za rodzaj literatury, a atlas należy traktować jak tom poetycki”. *Atlas wysp odległych* jest bowiem najlepszym dowodem na to, jak wielką moc oddziaływania na wyobraźnię mają mapy oraz odbywane za ich pośrednictwem wędrowki, również w wymiarze wizualnym (publikacja została uznana za najpiękniejszą niemiecką książkę 2009 roku). Judith Schalansky zabiera swoich czytelników w egzotyczną podróż po historiach i terenach dalekich, często nieprzystępnych lądów, szkicując mapę wyspiarskiego świata rozlanego po pięciu oceanach. I czyni to tak, że – jak pisał tygodnik „Die Zeit” – „czujemy zapach morza, słyszymy fale i mewy”.

5

Księga zwierząt niemalże niemożliwych. Bestiariusz XXI wieku

Caspar Henderson (przeł. Zofia Szachnowska-Olesiejuk i Adam Olesiejuk), Marginesy

A od kompendium miejsc wyobrażonych niedaleko do kompendium istot „niemalże niemożliwych”. Caspar Henderson stworzył przegląd zwierząt tak niezwykłych, że aż trudno uwierzyć, że prawdziwych. Bestiariusz XXI wieku jest więc w pewnym sensie podróżą poza granice wyobraźni – bo nie prowadzi ku fikcji, ale ku nietuzinkowości realnego świata. Jak głosi opis na okładce: „Caspar Henderson zorganizował nam otwierające oczy safari i pokazał prawdziwe zwierzęta, których żaden zdrowy na umyśle człowiek nie zdołałby wymyślić”. Ta piękna książka (z zachwycającymi ilustracjami) może być zachętą do podziwiania najbardziej egzotycznego ze wszystkich światów – naszego własnego – i zadziwienia nim.



W marcu i kwietniu przekonaaliśmy się, jak wielu rzeczy może brakować podczas izolacji. Spotkania z bliskimi zastąpiły nam rozmowy przez komunikatory wideo; spektakle, wieczory autorskie, koncerty i wernisaże – *live streamingi* z teatrów, mieszkań i galerii. Tęsknota za kontaktem z ludźmi i przyrodą oraz zwyczajną, codzienną możliwością przemieszczania się zainspirowała nas do przygotowania subiektywnego przeglądu sposobów na podróżowanie bez wychodzenia z domu. I choć o nieskończonym potencjale wędrowek w wyobraźni od wieków przekonuje kultura, rekomendujemy konkretne pomoce, wypychające głowę poza cztery ściany (a niekiedy nawet poza prawa fizyki).

2

Wanderlust Travel Stories (studio Different Tales)

Szumu fal, ryku zwierząt czy hałasu zatłoczonego bazaru dostarczy z kolei *Wanderlust Travel Stories* – połączenie gry wideo i interaktywnej literatury podróżniczej, dzięki któremu wędrowka po świecie bez wstawania z kanapy staje się niemal dosłowną obietnicą. Gracze wpływają na tok swojej ekspedycji tak, by obok odkrywania niezwykłych miejsc, doświadczanych poprzez tekst, obraz i dźwięki, musieli uporać się również ze wszystkim tym, z czym podróże nieubłaganie się wiążą – finansami, zmęczeniem, a nawet przypisanymi swojej postaci motywacjami czy obawami. Ta inspirowana prawdziwymi historiami i miejscami na mapie opowieść mieści się między reportażem i przygodówką a rzeczywistością wirtualną, dając wrażenie quasi-realnej podróży.

3

Atlas lądów niebytych Edward Brooke-Hitching (przeł. Janusz Szczepański), REBIS

Gdyby kogoś interesowało jednak nie to, co jest, a to, co się ludziom niegdyś wydawało, że istnieje, niech sięgnie po *Atlas lądów niebytych*. Edward Brooke-Hitching, który sam siebie określa mianem „nieuleczalnego mapofila”, stworzył antologię zamierzonych wyobrażeń o świecie. W swojej książce zebrał więc mapy niebytych, ale domniemanych krain geograficznych czy mórz, przywołał ich historie i związane z nimi legendy oraz odtworzył wszelkie kurioza, jakie zapisały się w kartografii – od morskich potworów po złote miasta. Lektura obowiązkowa dla tropicieli mitów i entuzjastów nieposkromionej wyobraźni.

4

Słownik miejsc wyobrażonych, Gianni Guadalupi, Alberto Manguel (przeł. Piotr Bikont, Jan Gondowicz, Michał Kłobukowski, Jolanta Kozak, Maciej Płaza, Maciej Świerkocki), PIW

A skoro o miejscach stworzonych w wyobraźni mowa, nie sposób pominąć *Słownika miejsc wyobrażonych*, który po polsku ukazał się jesienią zeszłego roku. Choć określenie „słownik” może kojarzyć się nieszczególnie fantazyjnie, książka Guadalupiego i Manguela nie rozczaaruje nikogo, kto tak jak autorzy uwielbia czytać i wędrować za pośrednictwem literatury po fikcyjnych światach. Na potrzeby polskiego wydania, obok Narnii, Krainy Oz, Doliny Muminków, Śródziemia, Zamku Kafki czy niewidzialnych miast Itala Calvina, do antologii włączono też miejsca wyobrażone przez polskich autorów, takich jak Kołakowski, Gombrowicz, Gałczyński czy Witkacy.

Mirów ↑

Filtry ←

P Parking ↑

Plac
S.Starynkiewicza

Rondo ONZ →

DOBRO WSPÓLNE

Medycy na Ulicy

zdjęcie i tekst MARTA RYBICKA

Dworzec Centralny w Warszawie. A właściwie murek z widokiem na Hotel Marriott. W każdy poniedziałek i piątek Ania Jastrzębska, Bartek Matyszewski, Marcin Widomski i Michał Chetstowski nieustannie przyjeżdżają, aby opatrywać rany, edukować i psychologicznie wspierać potrzebujących. Gdy większość placówek pomocowych została zamknięta, oni są zespołem oddelegowanym do pracy w czasie pandemii.

– Ciągłe na froncie – twierdzą zgodnie. Pracują z własnej nieprzymuszonej woli, za darmo i po godzinach. Do ostatniego pacjenta.

Wolą o swoich podopiecznych nie mówić „bezdumni”, a „osoby w kryzysie bezdomności” – dając tym samym nadzieję, że nigdy nie jest za późno.

Medycy na Ulicy działają od dziesięciu lat, a od dwóch i pół roku jako projekt w ramach Fortior – Fundacji dla Wielu.

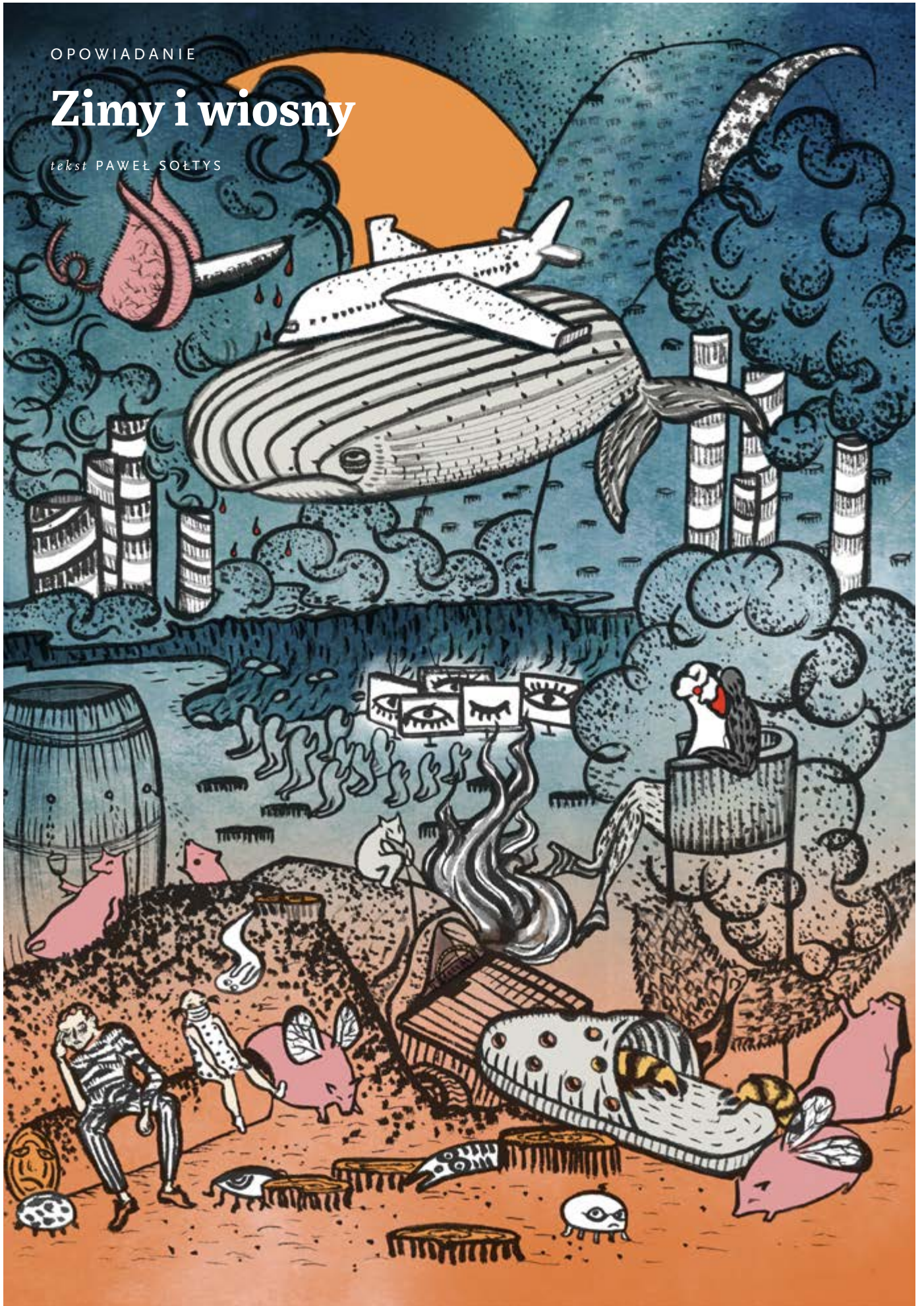
Cykl we współpracy z kampanią „Organizacje społeczne. To działa”
www.todziala.org

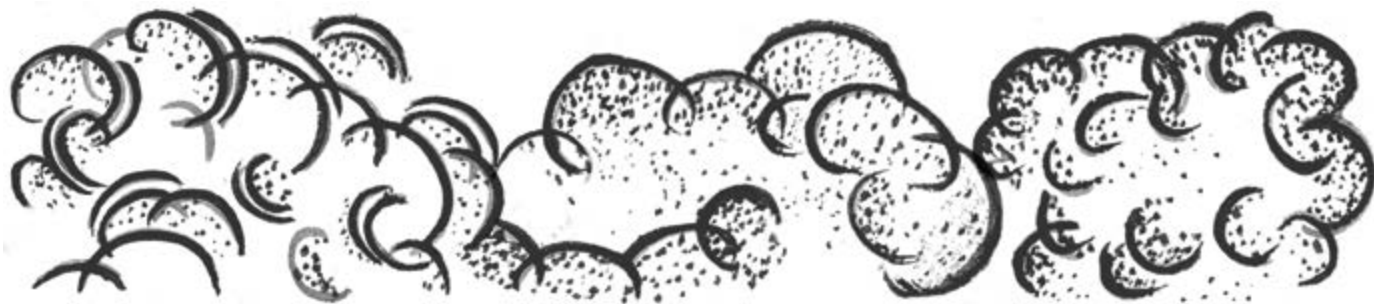


OPOWIADANIE

Zimy i wiosny

tekst PAWEŁ SOŁTYS





Wiosna to było złoto biedaków, od setek, a może i tysięcy lat. Biedacy, jak wiadomo, nie mieli złota prawdziwego, nie dojadali, nie dosiadali pięknych ogierów, nie mieli służby, potem mercedesa i czterdziestocalowej plazmy, kurtek za tysiąka z odpowiednim logo ani lekcji francuskiego w prywatnej szkole. Ale mieli nieśmiały marzec, kwietny kwiecień, maj w rozkwicie. Mieli nadzieję, powoli ciepłe dni, kwiaty spod śniegów, potem jabłonie w oszalałymi ondulacjach, niebo błękitne i burzę, po której powietrze smakuje jak łyk wody pod koniec wielokilometrowego marszu, mieli spacer, całą wiosenną miłosną mitologię, pierwsze piwo w parku. Nawet to im odebrano. Wiosna trwa w ostatnich latach parę dni, niemal godzin. Upały rosną szybko, z zimy przechodzimy do lata, nim człowiek zdążył wypić to pierwsze piwo, nim zdążył się głupio zakochać, nawąchać kwitnących drzew. W tym roku jest jeszcze inaczej, zimy nie było, po prostu. Nie wyjęliśmy z piwnicy sanek, żaden bałwan nie pilnował naszego podwórka. Gdy siedzieliśmy w kinie na *Krainie lodu 2*, córka się śmiała, a ja musiałem bardzo się pilnować, by nie zacząć krzyczeć. Ze strachu i bezsilności.

I żyjemy w tym półkońcu, ale ciągle nie dowierzamy, ciągle mrugamy jak facet ze slapstickowej komedii, który dostał w łeb grabiami, bo na nie sam nadepnął, ciągle nie chcemy dostrzec, że coraz ciaśniej nas oplata ten półkoniec, do którego „pół” dodaliśmy tylko dlatego, że nie da się żyć inaczej. Jedni patrzą na drugich i pytają:

czy to możliwe? Oczywiście są tacy, którzy upodabniają się do groteskowych dyktatorów na dzień przed ostateczną klęską – nie wierzą, wynajdują najbardziej absurdalne pseudobadania, przepowiednie, strony internetowe z (ironicznie przecież, to widać) jaskrawożółtymi napisami. Są tacy, którzy się boją, zbierają świadectwa: tu padły polarne niedźwiedzie, tu wyginęła populacja maskonurów, z głodu, a najbliżej – gdzie są te wszystkie owady, które niszczyły nam wakacje? Studnie gdzieś tysiąc kilometrów stąd wyschły, dno widać w tych bliżej, na Podkarpaciu i Mazowszu, ktoś znowu tnie kilometry lasów dla pieniędzy, których pewnie nie zdąży wydać. Takie informacje zbierają przerażeni. Ale oni też nie mogą tak naprawdę się przed sobą przyznać, że nie wierzą, a wiedzą po prostu. Koniec jest tak absurdalny, że niemożliwy.

Znamy to przecież z historii, ludzie wzięni na zatracenie zawsze znajdują strzęp nadziei, nawet jeśli niczego nie da się nim przykryć, opaszą się nim, jakby był całym płaszczem, a nie strzępem właśnie, tłącym się od żaru ostatniego lata. Jeszcze nie wszyscy piją na umór, jeszcze nie wszyscy popadają w rozwiązłość albo religijne manie, ale to też nastąpi. Tylko nie będzie już komu tego opisać, nie powstanie nowy *Dekameron*, bo nie dżumę tym razem na nas zesłano, samiśmy na siebie zesłali coś ostatecznego. Szkoda mi tych poetów jeszcze, którzy wytrwale budują pomnik trwalszy niż z wiadomo czego, by literami przekroczyć swoje krótkie życie, teraz i to im się odbierze. Nie będzie pokoleń, które mogłyby na ten pomnik patrzeć, nawet obity, z odłupanymi

dłońmi. Sam nie przepadam za futurologią, zawsze wydawała mi się nieco zbędna. Jak można wyprzedzać swoje lata, przewidywać następne epoki, skoro prawie niczego jeszcze nie zrozumieliśmy z przeszłości? Ale chyba dziś już można, ta przyszłość jest tak krótka, że wystarczy tylko czubek nosa wychylić z teraźniejszości. A w niej tak jak to bywało: małe, głupawe sprawy rosną w giganty, gdy piszę te słowa, trwa akurat debata, kto z kim pił wódkę w małej miejscowości pod Warszawą trzydzieści lat temu. I czy przypadkiem ktoś nie pił ironicznie, nie wlewał za kołnierz. I chciałoby się wziąć tych wszystkich dyskutujących za ów kołnierz i wyrzucić za drzwi, ale nie ma się niestety takiej mocy, tak jak nie ma mocnych na piar i miliardy stojące za węglem, ropą, przemyślową hodowlą zwierząt. A przecież mamy demokrację – narzędzie ponoć najdoskonalsze w historii, mamy wielkie religie, wielkie ponoć życie, mamy najlepiej wykształcone społeczeństwo, odkąd w ogóle są szkoły. I co? I tkwimy w bezsilności, na razie, a to „na razie” to nawet nie ostatni gwizdek, to po gwizdku już parę chwil, sędzia zszedł z boiska i zostaliśmy na nim sami, tylko trawa już wyschła, piach wchodzi w oczy, w usta. Zdaje ci się, że gdy krzykniesz, zadławisz się wcześniej niż inni, i może to jest właśnie najlepsze rozwiązanie.

Uznajcie ten tekst za tego typu próbę, okrzyk (oby) wariata. Najbardziej chciałbym się mylić, chciałbym, by rację mieli ci, których mam dzisiaj za głupców, przelknę to, odszczekam sto razy pod okrągłym stołem czy nawet na wyrębisku którejś z puszczy. Bo mam dziecko i cholernie się boję.

ROZMOWA

Kwarantanna w pokoju 101

z PROF. LECHEM M. NIJAKOWSKIM
rozmawia KAROLINA LEWESTAM





—

CZY SŁYSZAŁA PANI od kogoś na poważnie, że żyjemy w czasach apokalipsy? Nie! Raczej robimy rachunek domowych finansów i zastanawiamy się, czy nasza firma przetrzyma kwarantannę. Oświeceniowy optymizm!

Czego pan się najbardziej boi?

Rozumiem, że skoro pyta pani socjologa, to chodzi o społeczne lęki...

Nie pytam socjologa, pytam pana. W Roku 1984 Orwella mamy słynny pokój 101, w którym każdy spotyka to, czego boi się najbardziej. Co pan by tam zastał?

Mam różne lęki. Mam też strachy. Trzeba te dwie rzeczy odróżnić, bo strach dotyczy tego, co konkretne i rozpoznane, a lęk jest rozproszony i często nie ma określonego przedmiotu, dlatego bywa trudniejszy w obsłudze i bardziej destrukcyjny.

Czyli nie dowiem się, czego pan się boi... albo lęka?

Moje prywatne strachy i lęki są dzisiaj pewnie takie jak te publiczne. Rozmawiamy w czasie epidemii. Już jest bardzo źle, a wszystko wskazuje na to, że będzie jeszcze gorzej. Wirus nadciąga niczym pierwszy jeździec Apokalipsy i przynosi ze sobą możliwość utraty bliskich, obawę o załamanie porządku społecznego. No i właśnie – tuż za tym jeźdźcem majaczy w oddali kolejny: kryzys ekonomiczny. Kto wie, czy nie strątuje on więcej ofiar niż ten pierwszy? Za nimi galopuje trzeci, czyli kryzys klimatyczny, chociaż temu panu chwilowo nie poświęcamy aż tyle uwagi. Wszyscy nagle znaleźliśmy się w ogromnym pokoju 101, zamknęci w nim na czas epidemii. A wokół nas, co widać na przykład w folklorze internetowym, odżywają prastare strachy, struktury myślenia, które – jak sądziliśmy – dawno odeszły. Tych wymiarów strachu Orwell nie był w stanie dostrzec.

A my dziś możemy?

To są strachy, które ludzkość zna choćby z czternastowiecznej Europy. Strach przed epidemią, lęk przed złą, przypadkową, nagłą śmiercią. A teraz śmierć jest jeszcze trudniejsza do przełknięcia, bo nie niesie ze sobą takich metafizycznych sensów jak w średniowieczu. Dzisiaj śmierć to śmierć – i tyle. A w czasach koronawirusa te prastare struktury lękowe się ujawniają i nas zaskakują. Bo my, ludzie z globalnej Północy, takie sytuacje znamy głównie z telewizji, powieści czy komiksów. No bo kiedy pani ostatnio myślała o epidemii?

Podczas oglądania filmu *Contagion: Epidemia strachu*. A skoro już o tym mowa... Pan, jako badacz motywów apokaliptycznych w kulturze, najlepiej wie, co należy czytać, co oglądać i w co grać, żeby jakoś przeprowadzić duszę przez to, co się teraz dzieje. Oprócz oczywiście wiadomego dzieła...

No właśnie, jak tu być oryginalnym...

Któreś z nas musi wymienić ten tytuł. Dobrze, ja to zrobię: *Dżuma Alberta Camusa*.

Tak. *Dżuma* jest wskazana, zwłaszcza poza koszmarnym kontekstem lektur szkolnych. Tak samo *Dekameron* Giovanniego Boccaccia. Ale żebyśmy mogli zrozumieć siebie w czasach epidemii, powinniśmy też zajrzeć do popkultury. Umberto Eco mówił, że literatura popularna jest po to, by ją konsumować i szybko o niej zapominać. Wedle myślicieli ze szkoły frankfurckiej jest taką właśnie łatwo przyswajalną papką. Ale ja się w niej doszukuję czegoś głębszego: traktuję ją jako sposób uprawiania filozofii. Popkultura pokazuje, gdzie tkwi zło, czego należy się bać. Niektórzy twierdzą wręcz, że horror stał się współczesną teologią. Badałem kwestię epidemii w literaturze popularnej – nie jest to może motyw najczęstszy, ale jednak bardzo dużo powieści, filmów, komiksów i gier komputerowych traktuje o zarazie. Temat został na tyle przepracowany, że nasz współczesny folklor, czyli na przykład memy, może stamtąd czerpać garściami. Dla niektórych konsumentów tego folkloru apokalipsa taka jak dzisiejsza stanowi wręcz spełnienie popkulturowych marzeń – jak w tym memie, gdzie ktoś trąca koronawirusa kijem, żeby wreszcie wziął się w garść i zrobił nam zombie. Dzięki kulturze popularnej możemy nie tylko zobaczyć, jak wspólnie wyobrażamy sobie różnego rodzaju zagłady, nie tylko stanąć naprzeciw apokalipsy zapakowanej w bezpieczny cudzysłów, ale i trochę się pocieszyć.

Jak to „pocieszyć”?

Globalna Północ, która zarządza kulturą popularną i kolonizuje za jej pomocą Południe, ustanawia różne hegemonie, między innymi hegemonię *happy endu*. Tu dobro, mimo wszystko, najczęściej jednak jakoś zwycięża.

Prezydent USA zawsze zdąży uratować świat przed zagładą.

No właśnie. Nawet prezydent czarnoskóry albo i prezydentka. W kulturze popularnej kryje się cała gama znaczeń i dyskursów, które zarządzają naszymi wyobrażeniami o takich rzeczach jak globalna pandemia. Szeregowy konsument, zażywający popkultury dla przyjemności, może tego oczywiście nie widzieć, za to badacz – zmuszony do obejrzenia nie tylko tego filmu, który mu się podoba, ale wielu, wielu filmów bardzo niskiej jakości artystycznej – będzie mógł takie wzorce wydobyć. A teraz dostaniemy pewnie mnóstwo nowego materiału.



Nie będzie wiadomo, w co ręce włożyć.

Byle umyte.

Te apokalipsy wszelkiej maści – od pandemii, przez potopy, uderzające w ziemię asteroidy, bomby atomowe i inne zagłady, aż po pożarcie ludzkości przez sztuczną inteligencję – stanowią stały motyw ludzkich wyobrażeń, przewijają się w kulturze już od czasów starożytnych. Skąd w nas ta potrzeba opisywania apokalipsy? Skąd ten ciągły pęd do przerabiania wszystkich strasznych scenariuszy, które mogą się przytrafić naszemu gatunkowi? Dlaczego chcemy o tym myśleć, na to patrzeć?

Większość przywołanych przez panią obrazów to raczej wizje postapokaliptyczne. Postapokalipsa stanowi szczególnie gatunek kultury popularnej. I proszę zwrócić uwagę, że aby zaistniała postapokalipsa, ludzkość musi przetrwać! Mało jest dzieł, w których umierają wszyscy co do jednego. Postapokalipsa to tak naprawdę pocieszenie – ha, nasz gatunek wszystko przetrwa, meteoryty, sztuczną inteligencję, epidemię! Nie damy się w całości zgładzić! No i właśnie te losy ocalonych na gruzach cywilizacji możemy obserwować i się nimi pasjonować. Więc widzi pani, że to jednak coś trochę innego niż myślenie czysto apokaliptyczne...

...które jednak też występuje.

Tak, i apokalipsa jako taka jest dość mocno zakorzeniona w różnych kulturach, bo wyobrażenie jej sobie wymaga namysłu filozoficznego. Moim zdaniem myślenie o apokalipsie zaczęło się w momencie, gdy człowiek postanowił za pomocą wyobraźni zapanować nad czasem. Nie potrafił sobie wyobrazić czasu wiecznego, nieskończonej historii, która nie będzie spuentowana. My chcemy puenty, a więc stworzenia historii świętej, a do tego potrzebujemy jej końca. Na przykład powtórnego przyjścia Chrystusa. No i proszę zobaczyć, że u chrześcijan apokalipsa, przedstawiana zresztą nie tylko u Świętego Jana, jest wydarzeniem optymistycznym. Wróci Chrystus, założy tysiącletnie Królestwo, dla wiernych i posłusznych będzie to wydarzenie wspaniałe i radosne. Z tego punktu widzenia człowiek myśli o apokalipsie, bo potrzebuje domknięcia i spuentowania historii ludzkości.

Czyli mówi pan, że jest to potrzeba raczej narracyjna niż terapeutyczna. Zawsze myślałam, że te obrazy służą oswojeniu lęków.

Ale to się przecież nie wyklucza. W tym sensie wszystkie religie – z których większość ma swoje apokalipsy – można traktować jako autoterapię ludzkości, potwierdzenie naszej wyjątkowości. To cudowna myśl dla *Homo sapiens* – że jesteśmy gatunkiem wyróżnionym, żyjącym w centrum wszechświata, którego stworzyciel jest w nas tak zapatrzony, że zajmuje go nawet sprawa seksu pozamałżeńskiego. Czyż to nie wspaniała wizja? Czyż nie ma

LECH M. NIJAKOWSKI (ur. 1977), socjolog, profesor UW, wieloletni doradca sejmowej Komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych, badacz popkultury, publicysta, autor książki *Świat po apokalipsie*.

mocy terapeutycznej? Zwłaszcza gdy od jakiegoś czasu wszystko się zmawia, żeby nas z tego centrum wyrzucić. Najpierw Kopernik, który wyprasza nas z centrum Układu Słonecznego. Potem ten przebrzydły Darwin, który śmie twierdzić, że nikt nas nie stworzył, ale ewoluowaliśmy mozolnie, tak samo jak inne, ostatnie gatunki.

O tak, to było ze strony Darwina wyjątkowo podłe.

I ciągle są na nas takie podłe zamachy. Teraz kolejny – na naszą wyjątkowość jako istot inteligentnych i świadomych – robi sztuczna inteligencja. Więc jeśli myślimy w kategoriach religijnej apokalipsy, to nasze poturbowane ego rośnie niesamowicie. Proszę sobie wyobrazić historię, w której naprawdę ważny jest zupełnie inny gatunek – albo w ogóle inna planeta. I że historia się skończy, bo jakieś istoty zupełnie do nas niepodobne, na przykład wielka, płynna inteligencja jak u Stanisława Lema (*Solaris*), wyśnią coś, co im się przyśnić nie powinno. To oburzające! Z tego punktu widzenia myślenie o apokalipsie jest jak najbardziej pocieszające i optymistyczne.

Wróćmy do naszej pandemii. Czy to jest taka nieświęta apokalipsa?

Nie. To żadna apokalipsa. Co prawda, chętnie uruchamiamy toposy kultury popularnej, bo wydają nam się adekwatne do sytuacji. Ale puste ulice, które dzisiaj widzimy, to jednak nie miasta wymarłe po wojnie jądrowej. Trzeba zachować zdrowy rozsądek. Oczywiście, niektórzy mogli powiedzieć, że to szkoda – byłoby tak fajnie, gdyby ta ludzkość wreszcie wymarła, planeta by odżyła. Ale to nie tego typu pandemia, nie tego typu zagrożenie. Zresztą epidemie od dawna są częścią naszej historii. Prosty przykład: łatwość, z jaką podbiliśmy Ameryki, wynikała z faktu, że wraz z konkwistadorami uzbrojonymi w arkebuzę, które bardziej straszyły, niż zabijały, przypłynęły właśnie patogeny. I to te patogeny zabrały się radośnie za wyrznięcie rdzennych mieszkańców Ameryki. Ta asymetria odporności wzięła się ze szczególnej historii Eurazji: epidemie były po prostu częścią naszych dziejów. Ciekawe jest to, że historycy często piszą historię powszechną tak, jakby epidemie były czymś dziejącym się przy okazji. A one przecież nieraz wywracały stolik i zmieniały reguły gry. Na tle niektórych epidemii z historii ta obecna nie wydaje się wcale tak tragiczna. A ponadto niejedyna epidemia, która miała ostatnio miejsce – weźmy na przykład HIV. Pytanie, czy w czasach tej konkretnej, koronawirusowej epidemii rozwija się myślenie apokaliptyczne. Moim zdaniem jest tego stosunkowo niewiele.

Naprawdę pan tak sądzi? Mnie się wydaje, że nic innego nie słyszę, tylko lamenty, że to już koniec świata.

Apokalipsa, jak mówiliśmy, to myślenie o końcu ludzkości. Czy mamy z tym do czynienia? Nie! Owszem, poja-

wia się lęk, strach, panika; tu zgoda. Ale czy poza jakimiś niszami kulturowymi słyszała pani od kogoś na poważnie, że żyjemy w dniach ostatnich? Nie! Raczej robimy rachunek domowych finansów i zastanawiamy się, ile jeszcze tej kwarantanny wytrzyma nasza firma.

A może narracje tak się nam zawężyły, że apokalipsa nie jest już rzeczą świata, tylko kwestią osobistą? Kto by tam miał energię na myślenie o końcu ludzkości. Wystarczy, że moje osobiste życie jest zagrożone. Ja cierpię, ja tracę pracę, ja muszę siedzieć w domu – koniec świata!

Może pojedynczy ludzie tak myślą. Ale czy myślimy o tym jako ludzkość? Moim zdaniem nie. Proszę zobaczyć, jak wiele się mówi o kryzysie ekonomicznym, który nadejdzie po epidemii. Czyli proszę, oświeceniowy optymizm! Naukowcy wynajdą szczepionkę, lekarze uratują ludzi, zostanie nas na tyle dużo, że będzie komu mierzyć się z kryzysem.

To prawda!

Mówię pani, oświeceniowy optymizm! To nie jest zanoszenie modłów do Boga, który postanowił zakończyć nasze dzieje. To nie jest myślenie o końcu cywilizacji. Najwyżej o tym, że ona się jakoś zmieni. W tym sensie więcej jest w naszej narracji o pandemii popkulturowego happy endu niż myślenia apokaliptycznego.

Pojawiają się nawet głosy, że może świat zmieni się nieco na lepsze...

No ba. Niektórzy w ogóle myślą o tej pandemii jako o oczyszczeniu. Ktoś tam umrze, ale to będą raczej ludzie starzy i chorzy, a nie piękni, młodzi i zdrowi. Jakieś zawody znikną, ale nie te wspaniałe, które potrafią pracować zdalnie. Przepraszam za ironię, ale bywają w tej narracji takie właśnie paskudne, eugeniczne motywy. W internecie można nawet znaleźć oburzającą nadzieję na globalną odnowę: my tutaj, biali na globalnej Północy, jakoś sobie poradzimy; tymczasem w Afryce pewnie będzie tak źle, że wreszcie trochę ich tam umrze. Myślenie eugeniczne jest wiecznie żywe – także, paradoksalnie, w krajach bardzo katolickich.

Skoro już mówimy o tym, co może się stać, zabawmy się w futurologów. Niech pan sobie wyobrazi, że w chwili nastania pandemii koronawirusa wszechświat rozdziela się na dwa równoległe. Z jednej strony mamy ten najlepszy z możliwych, o jakim nie śniło się Leibnizowi. Z drugiej – taki, w którym wszystko potoczyło się najgorzej jak mogło. Jak wyglądają te dwa wszechświaty? Co najlepszego może wyniknąć z tej sytuacji, a co może się stać najgorszego?

Futurologiem nie jestem. Co do tego lepszego wszechświata... nie mam pewności, czy w ogóle mógłby zaistnieć. Te opowieści o obaleniu kapitalizmu, zmo-

Tytuły książek to subiektywny wybór profesora na czas pandemii:

Mary W. Shelley,
The Last Man

Herbert George Wells,
Wehikuł czasu

Jack London,
Szkarłatna dżuma

John Wyndham,
Dzień Tryfidów

Philip K. Dick,
Odmiana druga

Richard Matheson,
Jestem legendą

William Golding,
Władca much

John Christopher,
Śmierć trawy.



dernizowaniu gospodarki, szansie na zmianę ustroju na sprawiedliwszy, a ludzkości – na lepsze pojawiają się zawsze, ale dzisiaj są wyjątkowo pozbawione sensu. To i owo może się zmienić – wymiana gospodarcza będzie wyglądała inaczej; trochę zmieni się może turystyka. To będzie inna globalizacja, inna akumulacja kapitału. Inna rozrywka, przynajmniej przez jakiś czas. Ale nie wierzę, żeby to był wielki szok. Nie wierzę, żeby ludzkość miała się jakoś głęboko zmienić. Sądzę raczej, że efekty tej pandemii bardzo szybko zostaną skapitalizowane i że po prostu inaczej – może efektywniej – będzie się wykorzystywało nasze strachy.

Żeby coś się naprawdę mogło zmienić, potrzebujemy scentralizowanych, skoordynowanych wysiłków, a to nam, jako światu, niezbyt wychodzi.

I, jak to zwykle bywa, rozkład efektów pandemii nie będzie sprawiedliwy, co wynika choćby z tego, jak różnie ludzie zarabiają, jak żyją, jaki jest system ochrony społecznej w krajach globalnej Północy i Południa. Czy będziemy w stanie wykorzystać obecną zmianę stylu życia do jakiejś zaprojektowanej przemiany gospodarczej, społecznej? Czy sprawiedliwość zwycięży? Sądzę, że nie. Tak jak pani mówi: musielibyśmy w tym celu podjąć globalny wysiłek.

Czyli najlepsze, co by się nam mogło przydarzyć po pandemii, to podjęcie jakiegokolwiek, nawet ograniczonego, wspólnego wysiłku na rzecz niewielkiej korekty istniejącego systemu?

Tak, ale powtarzam: optymistą nie jestem. Zamiast naprawiać świat, my, którzy przeżyjemy, będziemy się cieszyć, że nam się udało. My, którzy przetrwamy ten burzliwy kryzys gospodarczy i nie zubożemy całkowicie, będziemy się pocieszać, że inni mają gorzej. Być może na jakimś poziomie dotrze do nas, że kiedy rzeczywistość mówi „sprawdzam”, to okazuje się, że naukowiec potrafi zrobić szczepionkę, a piłkarz nie – więc warto inwestować w państwo. Może zrozumiemy, że lekarz nie powinien jednak wyjeżdżać, lepiej, żeby został tutaj. Może uświadomimy sobie, że pewne rodzaje produkcji są strategiczne i że odzieży ochronnej nie należy zamawiać z Chin, ale robić ją na miejscu. Ale trzeba działać szybko, żeby to zrozumienie zachować. Bo ta chwilowa gotowość do wyrzeczeń, proszę zwrócić uwagę, jest ściśle związana z faktem, że się boimy – jeżeli nie o siebie, to o naszych bliskich. Nie wierzę w to, że kiedy szok pandemii minie, ludzie nagle altruistycznie i wspólnotowo powiedzą: ach, to nie latajmy już samolotami na Mauritius, tylko jedźmy pociągiem na Mazury. Ach, nie kupujmy już truskawek z Ameryki Południowej, tylko czekajmy na polskie... Obecne wyrzeczenia nie płyną z serca, są wynikiem strachu przed śmiercią.



Nevil Shute,
Ostatni brzeg

Walter Miller,
Kantyczka dla Leibowitza

Arkadij i Borys
Strugaccy,
Piknik na skraju drogi

Doris Lessing,
Pamiętnik przetrwania

Herbert
Rosendorfer,
Wielkie solo
Antona L.

Kate Wilhelm,
Gdzie dawniej śpiewał ptak

Margaret
Atwood,
Opowieść podręcznej

Tatiana Tołstoj,
Kys

Andrzej
Ziemiański,
Autobahn nach Poznań.

Czyli naszą postawę wobec pandemii opisałby pan jako oświeceniowy optymizm plus egoistyczny pragmatyzm. Nie boimy się głady, boimy się o spadek PKB. Niewiele się zmieni, kryzys klimatyczny będzie się pogarszał, a my, zamiast myśleć o naprawie, już się aktywnie urządzamy w tej przyszłej d...

Właśnie. Bruno Latour pisał, że dzięki tej historii być może będzie nam łatwiej poradzić sobie z kryzysem klimatycznym. Nie uważam tak. Ciekawe, że kiedy patrzymy na ponad czterdziestoletnią historię projektów politycznych związanych z klimatem, widać, że zwykle wszystko kończy się na dyskusjach i nic się nie zmienia. Ale są też wyjątki od reguły; pamiętam na przykład dziurę ozonową, też chętnie wykorzystywaną w kulturze popularnej, która miała prowadzić do apokalipsy w wyniku masowego umierania na raka. Jakoś jednak ją zwalczono. Ale teraz dyskusje już całkowicie zdominował folklor internetowy lub kwestie zastępcze; nie mówi się poważnie o globalnych projektach społecznych. A to ten trzeci jeździec Apokalipsy jest kluczowy – nie ci dwaj z przodu. Pierwszy, pandemia, już nas trąca. Drugi, kryzys gospodarczy, będzie nas trącał za chwilę. Ale jak nadjedzie trzeci, to będzie nam się wydawało, że dwa pierwsze bawiły się w Wersal.

A kiedy nadjedzie czwarty?
Nie wiem.

Zaraz, nie można tak sobie nagle zmieniać logiki narracyjnej. Ma być czterech i koniec.

Trzech widzę. Czwartego jeszcze nie. Ale moim zdaniem to nie tak, że jest ich skończona liczba – ludzkość nieustannie widzi na horyzoncie jakichś nadciągających jeźdźców. Niektórzy twierdzą, że następną będzie sztuczna inteligencja. Że zastąpią nas inteligentne, nieświadome algorytmy. Oczywiście, w kulturze popularnej każda sklecona w garażu maszyna od razu zyskuje świadomość i chce zabijać ludzkość, ale bardziej prawdopodobne wydaje się, że po prostu przestaniemy być potrzebni, bo maszyny zrobią wszystko lepiej od nas.

Wróćmy do naszych dwóch wszechświatów. Jaki jest najgorszy możliwy scenariusz?

Waga scenariuszy ostrzegawczych jest wielka – przypomnijmy sobie choćby zimną wojnę z jej wizją holocaustu atomowego, która sprowadzała amatorów kolejnych wojen na ziemię. Piszmy więc. Moim zdaniem najgorszy będzie całkowity powrót na tory, którymi do tej pory podążaliśmy.

Mnie najbardziej zastanawiają negatywne konsekwencje tego zbiorowego poczucia utraty kontroli, jakie staje się teraz naszym udziałem. Czekamy, aż jakiś naukowiec, którego nie znamy, wymyśli nam szczepionkę. Nie ma

nic, co moglibyśmy zrobić, żeby zmienić swoją sytuację. Nie boi się pan, że politycznie zjedziemy po tych torach daleko na prawo? Że ten wyjątkowy stan sprawi, że zapagniemy silnie i zdecydowanej władzy, jasnego wskazania winnych?

Na pewno ta sytuacja stwarza niepowtarzalną okazję dla populistów i wszystkich, którzy ostrzą sobie zęby na rządy autorytarne – jak na Węgrzech. Polityka strachu musi działać szybko, póki jest się czego bać. W wielu miejscach różne radykalne organizacje prawicowe mają z tej okazji *carte blanche* w kwestii walki z uchodźcami. Ale w populizmie prawicowym tak naprawdę chodzi nie o pandemię i możliwości, jakie ona mu stwarza. To, jak dziś wyglądają rządy na Zachodzie, stanowi konsekwencję kryzysu społecznego, który zaczął się już dawno temu – zwycięstwem neoliberalizmu w ekonomii i demontażem państwa opiekuńczego. Z tej perspektywy widać, że my w Polsce, w której są państwowe szpitale, paradoksalnie korzystamy z tego, że jeszcze nie wszystko z PRL-u rozmontowano, a inni – jak Stany Zjednoczone – cierpią dlatego, że bez reszty zawierzyli niewidzialnej ręce wolnego rynku. Tymczasem widać, że ta ręka czasami się nie myje i roznosi zarazki. To oczywiście banał, ale z tej perspektywy o tym, co się dzieje wokół, można mówić, w ogóle nie odwołując się do kategorii apokalipsy. To po prostu trajektoria związana z kryzysem wiary w neoklasyczną ekonomię. Nie mam zamiaru, co robią niektórzy, chwalić Chin, twierdząc, że demokracje nie radzą sobie z pandemią równie wspaniale. Ale wyraźnie widać, że te wyzwania, które stoją przed zglobalizowaną ludzkością, często wymagają czegoś więcej niż tylko działania prywatnych szpitali czy korporacji. Okazuje się, że to za mało, że potrzebne są i społeczeństwo obywatelskie, i silne instytucje. A te instytucje od lat rozmontowywano – i teraz to widać. To dlatego Viktor Orbán ma takie pole do popisu; pandemia jest tu tylko rodzajem akceleratora.

W momencie koniunktury pełno wokół neoliberalistów, a podczas epidemii wszyscy nagle stają się socjalistami. Tak, bo rzeczywistość walnęła nas w twarz i – oprócz tego, że oczy nam się zaszklily i jesteśmy obrażeni, bo jak ta rzeczywistość śmiała – widzimy, że jednak w tym całym kapitalizmie nie jest wcale tak przyjemnie, jak myśleliśmy wcześniej. Nieograniczona globalizacja może prowadzić do efektów patologicznych. Już pomijam te nieszczęsne truskawki przywożone samolotami na drugą półkulę. Ale widać na przykład, że globalizacja produkcji leków sprawiła, że nagle nie mamy tutaj, w Europie, różnych podstawowych substancji, bez których możemy nie przeżyć.

Pytam pana, co najgorszego może wynikać z tej pandemii – a pan mówi, że najgorsze jest to, że niczego się nie nauczymy. Jestem nieco rozczarowana. Od osoby, która

bada ludobójstwa, dystopie, apokalipsy i horrory, oczekiwałam trochę bardziej szalonej wyobraźni...

No cóż, nie wszystkie możliwości dyskursywne się spełniają. Bo widzi pani, o tej pseudoapokalipsie można mówić na wiele różnych sposobów. I z jakichś powodów niektóre z tych narracji się pojawiają, inne zaś nie. Dam przykład: gdybym ja był, powiedzmy, hierarchą kościelnym, natychmiast użyłbym pandemii, która wybuchła w czasie przedwielkanocnym, do rozmowy o Wielkim Poście. A czy to się pojawiło w polskim dyskursie publicznym? Czy jakiś hierarcha zachęcał do tego, by korzystając z okazji, wyciszyć się, nie bawić, nie szaleć? Ja niczego takiego nie słyszałem. Filozofka Chantal Mouffe o tym pisała: rzeczywistość jest nadmiarem znaczeń. I pewne z nich się nie realizują.

Proszę mi jeszcze powiedzieć, co mam przeczytać – oprócz *Dzuma*.

Prowadzę nawet tabelkę najbardziej interesujących – pod względem tematyki i wartości literackiej – przykładów literatury postapokaliptycznej i wciąż sobie ten zestaw aktualizuję. Myślę, że na *Władcę much* wciąż za wcześnie; tak jak mówiłem – dezintegracja cywilizacji jeszcze nam nie grozi. Czytajmy za to powieści o kryzysie klimatycznym – może pozwolą nam się zorganizować, zanim nadjedzie trzeci jeździec. Polecam Paola Bacigalupiego. Ale najbardziej chyba mogę na dziś polecić *Ślepe stado* Johna Brunnera. To powieść niezwykle aktualna, odkrywca wręcz, chociaż wydana w latach 70. Czytajmy.

Czytajmy, zanim pochłonie nas dżuma.

Czytajmy, póki żyjemy i nie umieramy w gorączce. To może pani wykreślić.

Już się robi. Dziękuję.

Cormac
McCarthy,
Droga

Paolo
Bacigalupi,
*Nakręcona
dziewczyna*

Jacek Dukaj,
Lód

Peter Heller,
*Gwiazdozbiór
psa*

Emily St. John
Mandel,
*Stacja
jedenaście*

Maja Lunde,
*Historia
pszczół.*



Co tydzień nowy podcast Pisma.
Słuchaj nas na magazynpismo.pl

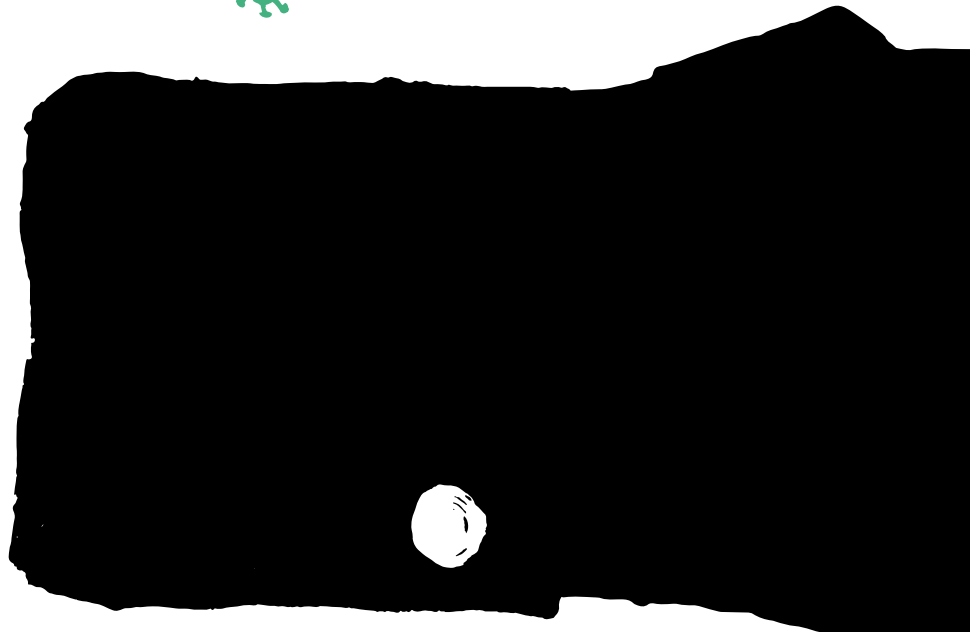
SOUNDCLOUD





Obnażona istota władzy

tekst DAVID RUNCIMAN
przełożył JAN DZIERZGOWSKI



W CZASIE POWSZECHNEJ SAMOIZOLACJI łatwo dostrzec, że kwintesencja polityki nie zmieniła się od czasów Thomasa Hobbesa: jedni ludzie mówią drugim, co mogą, a czego nie mogą robić.

Ciągle słyszymy: trwa wojna. Czy aby na pewno? Wojenną atmosferę wokół obecnego kryzysu podsycy pozorny brak normalnej debaty politycznej. Premier [Wielkiej Brytanii, Boris Johnson – przyp. red.] wygłasza w telewizji podniosłe orędzia do obywateli, zapowiadając ograniczenie naszych swobód, a lider opozycji [wówczas jeszcze Jeremy Corbyn – przyp. red.] tylko mu przyklaskuje. Parlament – jeśli w ogóle działa – nie podejmuje znaczących decyzji. Ludzie tkwią w zamknięciu i pozostały im tylko domowe konflikty. Mówi się o powołaniu rządu jedności narodowej. Ani śladu normalnej polityki.

Nie została ona jednak zawieszona. Po prostu zdarto jedną z jej wierzchnich warstw i naszym oczom ukazało się surowe wnętrze. Ludzie żyjący w demokracji postrzegają politykę jako nieustający konflikt ugrupowań zabiegających o nasze poparcie. Skupiamy się na kwestiach typu „kto” i „co”: kto chce naszych głosów, co nam proponuje, kto może skorzystać. Mechanizmem pozwalającym rozstrzygnąć wspomniany konflikt są wybory powszechne. Jednak najważniejsze pytanie demokracji brzmi zawsze:

„Jak?”. Jak rząd wykorzysta nadzwyczajne uprawnienia, które od nas otrzymał? Jak na to zareagujemy?

Właśnie tego typu rzeczami zajmują się teoretycy polityki. Obecnie nie mamy jednak do czynienia z teorią. Trwający dziś kryzys pokazuje zasadniczą prawdę dotyczącą polityki: jedni ludzie mówią drugim, co mogą, a czego nie mogą robić. Istotą nowoczesnych systemów politycznych jest poszukiwanie kompromisu między wolnością jednostki a zbiorowymi wyborami, faustowski pakt opisany przez filozofa Thomasa Hobbesa w XVII wieku, gdy Anglię pustoszyła wojna domowa – prawdziwa, nie zaś metaforyczna.

Hobbes wskazywał, że ten, kto rządzi, ma władzę nad życiem i śmiercią. Jest tylko jeden powód, dla którego mielibyśmy komukolwiek powierzyć taką władzę: zbiorowe bezpieczeństwo. Zarazem jednak trzeba pogodzić się z faktem, że nie mamy pełnej kontroli nad rządzącymi.

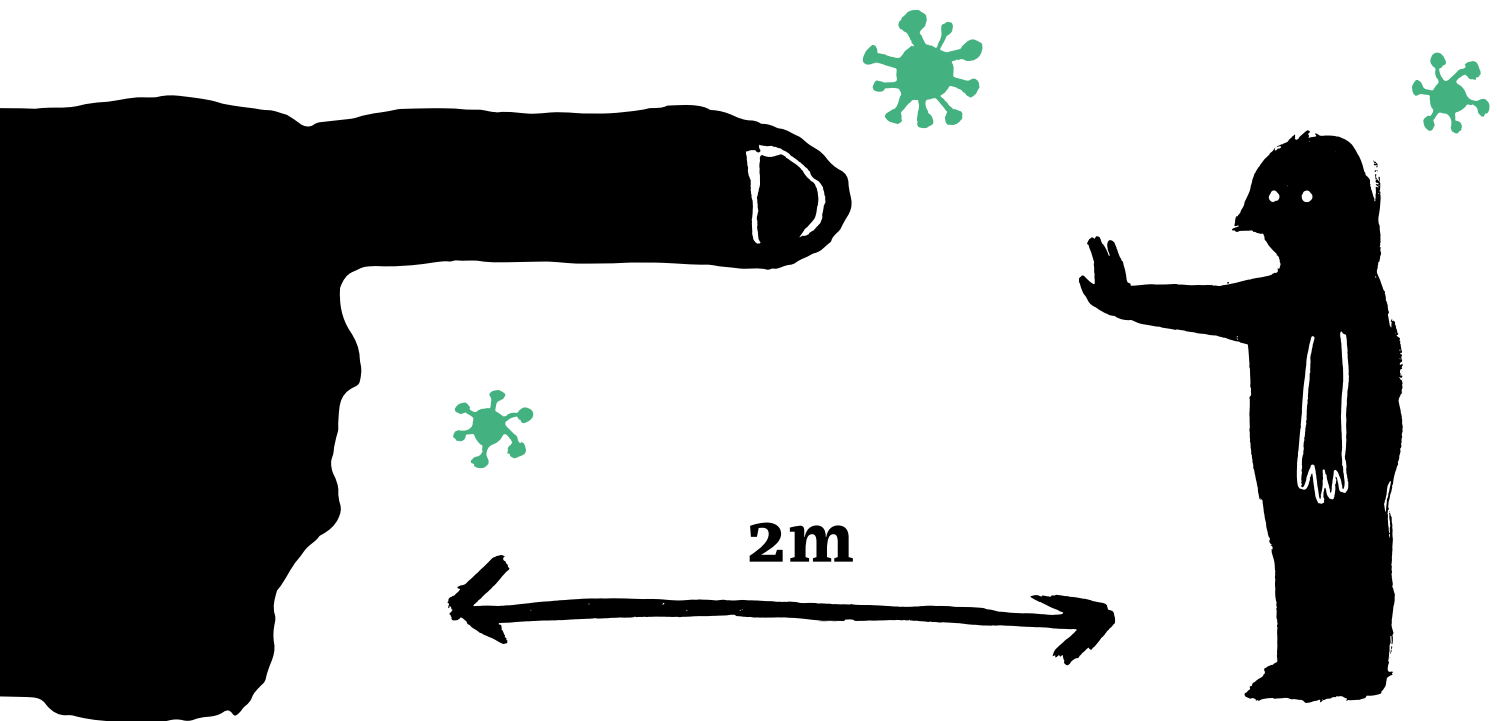
Główne ryzyko polega oczywiście na tym, że rządzeni po prostu odmówią wykonywania poleceń. Wówczas pozostaną dwie możliwości: albo państwowy aparat przymusu wyegzekwuje posłuszeństwo obywateli, albo

nastąpi zupełne załamanie polityki. Hobbes twierdził, że tego drugiego powinniśmy bać się najbardziej.

Demokracja pozwala nam po prostu poczekać do następnych wyborów i ukarać rządzących za ich błędy. To jednak żadna pociecha, jeśli stawką jest przetrwanie. Poza tym nie mówimy przecież o szczególnie surowej karze. Owszem, przegrani politycy tracą stanowiska, ale mało który kończy przez to w nędzy. Nam tymczasem grozi śmierć.

Zazwyczaj nie dostrzegamy brutalności tego stanu rzeczy, gdyż przesłania ją demokratyczny imperatyw szukania konsensusu. Ten imperatyw nadal obowiązuje: rząd robi wszystko, co może, żeby przedstawić swoje decyzje w języku zdroworozsądkowych zaleceń, i powtarza, że wierzy w roztropność obywateli. Doświadczenie innych krajów europejskich wskazuje jednak, że w miarę, jak kryzys się pogłębia, naga prawda wychodzi na jaw. Wystarczy obejrzeć krążące w internecie filmiki przedstawiające włoskich burmistrzów, którzy wrzeszczą do swoich wyborców, żeby zostali w domu. Zazwyczaj w demokracji mówi się ludziom: „Głosujcie na mnie, bo inaczej wygra ten drugi”. Natomiast obecny przekaz – „Macie robić, co mówię, bo pożałujecie” – to demokratyczna polityka w stanie surowym. W tym momencie nie widać szczególnej różnicy w porównaniu z innymi ustrojami.

Kryzys ukazał nam pewną niewygodną prawdę. Przede wszystkim rząd odgry-



wła istotną rolę, więc to, kto dzierży władzę w twoim kraju, ma duże znaczenie. Pandemia jest zjawiskiem globalnym, doświadczanym podobnie w wielu miejscach, ale jej skutki w ogromnym stopniu zależą od decyzji podejmowanych przez poszczególne gabinety. Przyjmowane są różne programy działania, padają różne odpowiedzi na pytanie, jak daleko można się posunąć. Nie znajdziemy więc dwóch państw będących w identycznej sytuacji. Po wszystkim przekonamy się, kto miał rację, a kto się mylił. Na razie jesteśmy na łasce naszych krajowych przywódców. Przed tym też ostrzegał Hobbes: arbitralność w polityce jest nie do uniknięcia, wynika bowiem z przekonania i ocen ludzi, którzy rządzą.

Kiedy obowiązują ograniczenia związane z pandemią, łatwiej dostrzec też pewne cechy wspólne demokracji i innych ustrojów. Okazuje się, że polityka zasadniczo sprowadza się do kwestii władzy i porządku. Zarazem jednak ukazują się nam zasadnicze różnice. Demokracje nie są miłsze czy łagodniejsze – może nawet próbują takie być, ale na dłuższą metę im się to nie udaje. Słabo natomiast radzą sobie z dokonywaniem naprawdy trudnych wyborów. Prewencja – zdolność zapobiegania problemowi, zanim się nasili – nigdy nie była szczególnie mocną stroną demokracji. Zwlekamy, aż wreszcie nie ma żadnej innej opcji i po prostu musimy się dostosować do sytuacji. Oznacza to, że demokracje zawsze będą reagowały

z opóźnieniem w przypadku chorób takich jak COVID-19, aczkolwiek niektóre potrafią nadrobić stracony czas szybciej niż inne.

Autokratyczne reżimy w rodzaju Chin też nie potrafią się mierzyć z kryzysem, dopóki naprawdę nie są do tego zmuszone, a ponadto – w przeciwieństwie do demokracji – mogą dłużej ukrywać niepomysłne fakty. Kiedy jednak trzeba przejść do działania, są w stanie posunąć się dalej. Bezwzględne zakazy wprowadzone w Chinach pozwoliły zaplanować nad epidemią.

Demokracje również bywają bezlitosne, czego dowiodły choćby dwudziestowieczne wojny totalne. Podczas wojny widzisz jednak przeciwnika. O tym, gdzie rozprzestrzenił się wirus, dowiadujemy się wyłącznie z codziennych statystyk zakażeń i zgonów. Demokratyczna polityka zmienia się więc w pojedynek z niewidzialnym wrogiem: państwo nie potrafi stwierdzić, kto stwarza niebezpieczeństwo.

Część krajów demokratycznych szybko przystosowała się do tej sytuacji. W Korei Południowej opanowano chorobę dzięki szeroko zakrojonej programowi śledzenia kontaktów i nadzoru nad osobami potencjalnie zakażonymi. Tamtejszy rząd miał już jednak doświadczenie zdobyte podczas epidemii MERS w 2015 roku, która wyryła się też w pamięci obywateli. Izrael radzi sobie lepiej niż część krajów europejskich, ale jego społeczeństwo dawno już przyzwyczało się do życia w stanie wojny. Tym, którzy

już się przystosowali, łatwiej się dalej adaptować. Uczenie się wszystkiego w marszu jest zdecydowanie trudniejsze.

Ostatnimi czasy zdawało się, że globalna polityka to jedynie wybór między różnymi formami technokracji. W Chinach mamy rząd inżynierów wspieranych przez partię. Na Zachodzie główną rolę odgrywają ekonomiści i szefowie banków centralnych, działający w ramach ograniczeń narzucanych przez system demokratyczny. Wszystko to tworzyło iluzję, że rządzenie sprowadza się do technicznych decyzji i do zarządzania ogromnymi, złożonymi systemami gospodarczymi i społecznymi.

Od kilku tygodni żyjemy jednak w zupełnie innej rzeczywistości. Najważniejsze decyzje dotyczą tego, w jaki sposób używać przymusu. Nie mówimy tu po prostu o kwestiach technicznych, gdyż pewna doza arbitralności jest nieuchronna. Wynik sporu o to, jak stosować przymus – z demokratyczną adaptowalnością czy z typową dla autokracji bezwzględnością – wpłynie na przyszłość każdego z nas. Wiele nas dzieli od okrutnego, przerażającego świata, z którego Hobbes pragnął się wyrwać niemal czterysta lat temu, ale mimo upływu czasu współczesna polityka zapewne wydałaby się filozofowi znajoma.

Artykuł ukazał się 27 marca 2020 roku na theguardian.com. Copyright Guardian News & Media Ltd 2020.